

Najdłuższy dzień, czyli polska wyprawa po złotą kaczkę do Arktyki

Tomasz Ulanowski
17 września 2018 | 12:17



W punktach pomiarowych naukowcy liczą zalegające na wyspie śmieci. Mijamy ich po drodze mnóstwo. To resztki sieci, zabawki, beczki, buty, torby foliowe, boje, a także drobne kawałki plastiku. Przygnębiające wrażenie robi szkielet renifera, który zaplątał się porożem w linę okrętową. (Tomasz Ulanowski)

W punktach pomiarowych naukowcy liczą zalegające na arktycznej plaży śmieci. To resztki sieci, zabawki, beczki, buty, torby foliowe, boje, a także drobne kawałki plastiku.

- To będzie łatwy spacer po tundrze - obiecał.

- Ledwie 10-12 km dziennie - powiedział.

- Łatwe spacerki po tundrze nie istnieją - śmieje się Tomek Jankowski z Instytutu Oceanologii PAN w Sopocie, nasz przewodnik po Ziemi Księcia Karola (norw. Prins Karls Forland), arktycznej bezludnej wyspie położonej w zachodniej części archipelagu Svalbard. Mamy w nogach kilkadziesiąt trudnych kilometrów i serdecznie wszystkiego dosyć.

Odkrycie

Ubiegłego lata podczas podobnej wyprawy naukowcy z IO PAN natknęli się na zachodnim wybrzeżu wyspy na żółtą plastikową kaczuszkę - taką, jakimi w wannach całego świata bawią się dzieci. Badacze zrobili jej zdjęcie i odnotowali jej obecność w kajeciku wśród zapisków o setkach innych kawałków plastiku wyrzuconych przez prądy morskie na plaże i tundrę Prins Karls Forland.



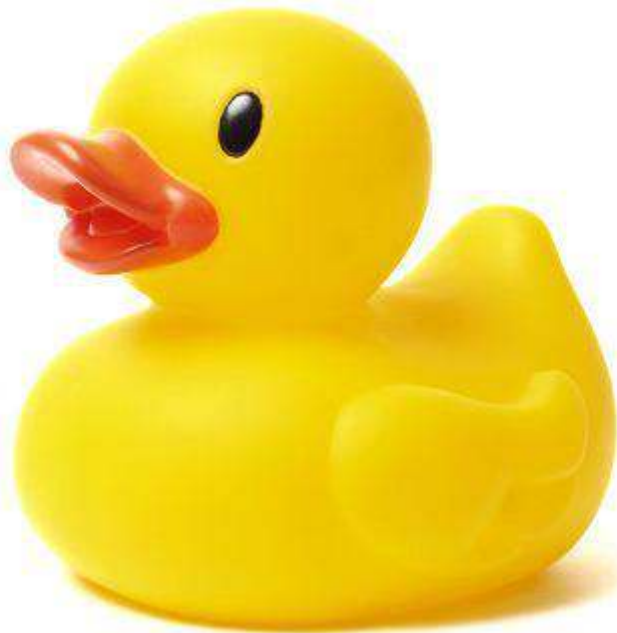
Ponieważ robili cenzus śmieci i ciepłolubnych gatunków, które przyplývają z Południa, żółta kaczuszka była dla nich tylko kolejną pozycją na liście. Ciekawą, to prawda, ale czego to nie znaleźli w 15 tonach plastiku, które naliczyli na wybrzeżu Ziemi Księcia Karola!

- Nie miałem pojęcia, co fotografuję - mówił rok temu "Wyborczej" prof. Jan Marcin Węśławski, szef wyprawy i dyrektor Instytutu Oceanologii. - Dopiero miesiąc po powrocie, kiedy przeglądałem zdjęcia, zorientowałem się, że dokonaliśmy odkrycia.

Nie byłoby go, gdyby nie wypadek, do jakich często dochodzi na ruchliwych i kapryśnych szlakach morskich.

W 1992 r. przez statek płynący z Hongkongu do USA przewaliła się fala. Kilkanaście kontenerów spłynęło z pokładu do Pacyfiku. W jednym z nich chińscy producenci wysłali blisko 29 tys. plastikowych zabawek, w tym żółte kacuszki. Kontener się otworzył, a zabawki rozplýnęły się po świecie.

- Znajdowano je na wybrzeżach Hawajów, Australii i Ameryki Południowej. Część z nich podryfowała na północ, przepłynęła Cieśninę Beringa, pokonała Ocean Arktyczny i przedostała się na Atlantyk - opowiadał prof. Węsławski. - Wylądowały na wybrzeżach Grenlandii, Islandii, Kanady i USA. Potem złapał je Gólsztrom i podryfowały z powrotem na północ - do Europy. Nasza, mocno już zresztą wypłowiała, leżała sobie na szerokości 78 st. północnej. To absolutny rekord. Nikt nie znalazł ich na dalszej północy niż my.



Chińskie plastikowe kacuszki udowodniły więc, że Ziemię opływa jeden ocean połączony prądami morskimi. Pokazały też, że ruchem tego oceanu rządzi chaos, bo choć zabawki wypłynęły z kontenera prawie w tym samym miejscu, to podryfowały we wszystkie strony świata.

A ponieważ są tak zasłużone dla ludzkości, każda z nich jest dziś warta kilka tysięcy dolarów.

Niestety - nieświadomi wspaniałego skarbu, który znaleźli - Polacy zostawili go wśród innych śmieci zalegających brzegi Ziemi Księcia Karola. Kilka miesięcy po powrocie, kiedy już zdał sobie sprawę z wagi odkrycia, prof. Węsławski zaczął kaptować ekipę, która latem 2018 r. miała wyruszyć na kolejną wyprawę badawczą w to samo miejsce - i przy okazji znaleźć cenną żółtą kacuszkę.

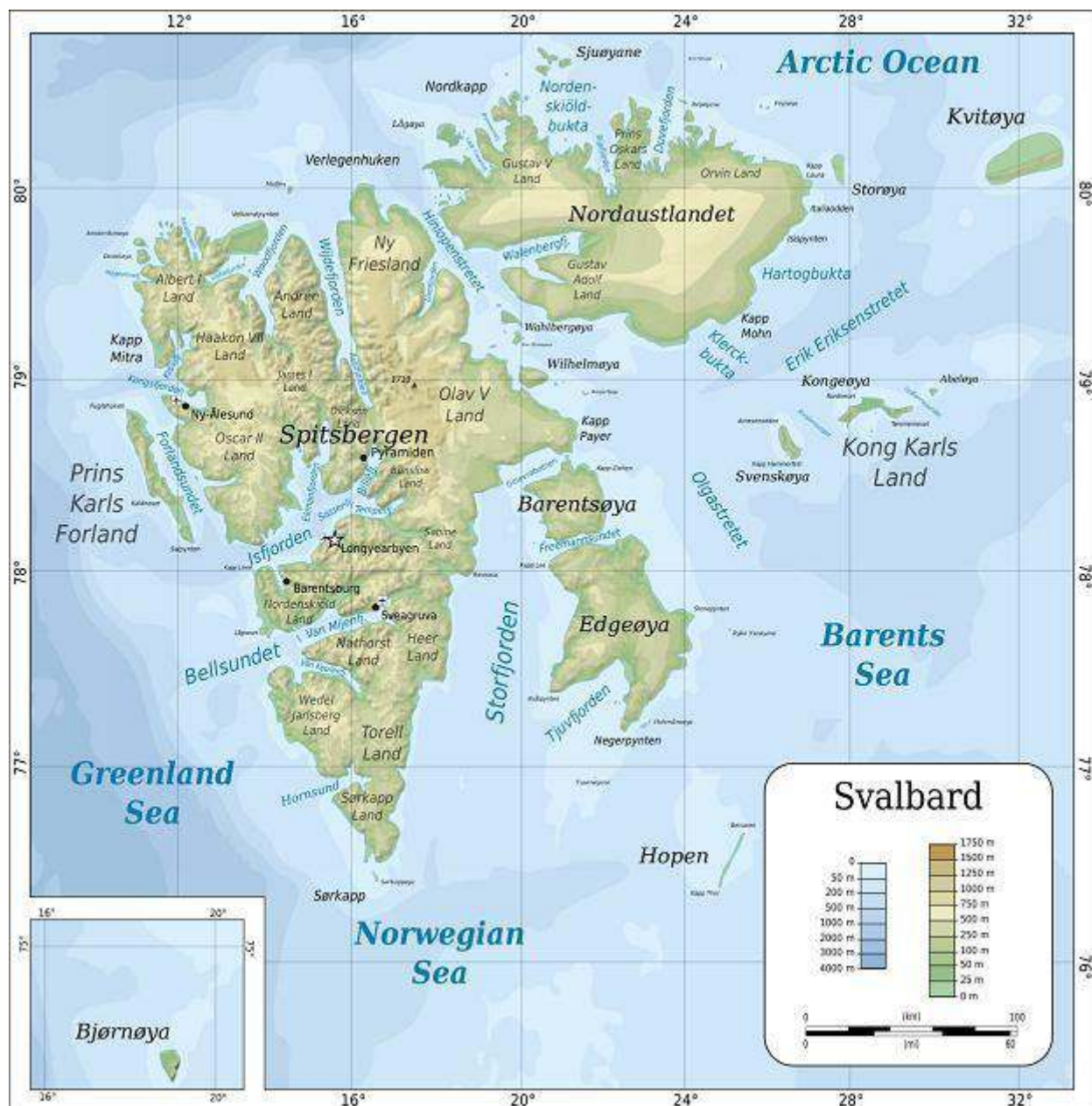
Ziemia

Na początku sierpnia na wyspie ląduje grupa marszowa - siedem osób z Polski (w tym reporter "Wyborczej") oraz z USA. Na miejsce dowozi nas statek badawczy IO PAN "Oceania".

Jakoś nas nie dziwi, że współpracownik Węśławskiego dr Lech Kotwicki, który maszerował razem z nim w ub.r., teraz dowodzi drugą ekipą badawczą mającą *opłynąć* wyspę cieśniną Forlandsundet od mniej dostępnego, bo ciągle porytego lodowcami wschodu. Jego pięcioosobowa grupa pontonami będzie desantować się na tamtejsze plaże, na których policzy zalegający je plastik i zbada gatunki napływające z południa wraz z ociepleniem klimatu.

Nasza siódemka ma do pokonania blisko 100 km. Pieszo, tundrą i kamienisto-piaszczystymi plażami.

Cały dobytek będziemy dźwigać na plecach, jak ślimaki. Oprócz rzeczy osobistych każdy niesie kilka kilogramów liofilizowanego jedzenia oraz rzeczy wspólne. Mnie przypadł namiot. Dźwigam ze 25 kg, które czują coraz mocniej z każdym pokonanym kilometrem, a potem metrem.



Mapa topograficzna Svalbardu Oona Räisänen

Tuż przed wyruszeniem do Arktyki prof. Węśławski wysłał nam swoje opracowanie o niesławnej ekspedycji Greely'ego.

W sierpniu 1881 r. amerykańska wyprawa naukowa rozbiła obóz na wyspie Ellesmere'a sąsiadującej z północno-zachodnim wybrzeżem Grenlandii. 24 żołnierzy i oficerów pod dowództwem mjr. Adolphusa Greely'ego miało m.in. szukać załogi amerykańskiego okrętu USS "Jeannette", który dwa lata wcześniej wyruszył na poszukiwania bieguna oraz pewnego zaginionego statku i sam zaginął. Plan zakładał, że Greely i jego ludzie zostaną zabrani do domu po dwóch zimach. Niestety, wszystko poszło nie tak.



Po trzech zimach, kiedy amerykańskich zdobywców uratowano, żyło ich jeszcze ledwie siedmiu. Ekshumowane kości tych, którzy przepadli, nosiły ślady obróbki ostrymi narzędziami.

Nam kanibalizm nie grozi, żyjemy w końcu w XXI w. i w razie sytuacji awaryjnej możemy wezwać pomoc ze stolicy Svalbardu Longyearbyen.

Nasza wyprawa kojarzy mi się raczej z życiem nomadów, np. tanzańskiego ludu Hadza, który jest jednym z ostatnich plemion łowiecko-zbierackich. Hadza zostało jeszcze tylko niecałe dwa tysiące. Są odrębni genetycznie od otaczających ich ludów rolniczych i posługują się pierwotnym językiem mlaskowym.

My, oczywiście, nie będziemy polować, ale powędrujemy z całym naszym dobytkiem, odcięci od świata zewnętrznego.

Na Prins Karls Forland schodzimy 3 sierpnia wieczorem - choć pory dnia i nocy są tu czysto umowne, bo panuje dzień polarny. Z oceanu podglądają nas foki, a z pobliskiego oczka wodnego startują rybitwy. Na tundrze walają się focze kości (- Kości ssaków morskich są obłe, mają specyficzny opływowy kształt - tłumaczy mi Brian Waitkus, emerytowany amerykański archeolog), czaszka i rogi renifera oraz resztki plastikowych sieci rybackich.

Na plaży niedźwiedź polarny odbił wyraźne tropy swych ciężkich łap. Widać, jak szedł tym swoim zataczającym się krokiem.

Dzielimy warty i większość z nas kładzie się spać.

Drużyna

Budzi mnie północny wiatr. Wyobrażam sobie, że jestem kompletnie sam. Moi towarzysze podróży nagle znikli.

Nie pamiętam, żeby podzielił się z kimś tym sennym powidokiem. Hania Mamzer, socjolożka i psycholożka, profesor z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zaraz zaczęłaby psychoanalizę. Ciągłe robi notatki.

Pomiędzy naszymi plecakami ukrywa się samotny alczyk uciekający przed wielkimi wydrzykami. Dziwne. Zamieszkujące Arktykę alczyki zawsze widuje się w stadach. Grupowym stylem lotu przypominają nasze szpaki. Samotny alczyk?



Sierpień 2018, Ziemia Księcia Karola, Arktyka. W punktach pomiarowych naukowcy liczą zalegające na plaży śmieci. To resztki sieci, zabawki, beczki, buty, torby foliowe, boje, a także drobne kawałki plastiku (Tomasz Ulanowski)

Brian wyciąga go spośród plecaków i zabiera na plażę. Tam ptaszek dochodzi do siebie i odlatuje.

Maszerujemy przez tundrę, omijając oczka wodne.

Rozmawiamy o niedźwiedziach polarnych. Część z nas bardzo chciałaby je spotkać. Tomek i Kasia Jankowscy (mają za sobą zimowanie w Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie; dr Jankowska jest mikrobiologiem i pracuje na Politechnice Gdańskiej) powtarzają, że wcale nie chcielibyśmy spotkać misia.

Dr Ania Krzyszowska-Waitkus, dla przyjaciół Krzunia, opowiada o swoim spotkaniu z niedźwiedziem w marcu 1985 r. w Hornsundzie:

- Byłam sama w chacie na brzegu Zatoki Gåshamna i rąbałam drewno. Nachyliłam się i pomiędzy nogami zauważyłam misia. Uciekłam do domku, zamknęłam jako tako drzwi i chwyciłam pistolet na rakiетnice.

- Nie wiedziałam, czy jest załadowany, i jak ta głupia naciśnęłam spust. Rakiетnica wypaliła w domku. Niedźwiedź na chwilę się zatrzymał, ale potem znowu usłyszałam, jak śnieg skrzypi mu pod łapami. W końcu schowałam się do śpiwora i poszłam spać.

Śmiejemy się.

Mnie prześladauje jednak historia, która wydarzyła się tuż przed naszą wyprawą. Na północy Svalbardu przewodnik grupy turystów zastrzelił białego niedźwiedzia. W obronie drugiego przewodnika, którego niedźwiedź zdążył poranić. Czy byli tak nieuważni, że dali się zaskoczyć? A może podeszli za blisko drapieżnika, bo turyści chcieli mieć lepsze zdjęcia?

Na Svalbardzie żyje blisko 3 tys. niedźwiedzi polarnych. Ich ekosystem się kurczy w prawie całej Arktyce. Z powodu globalnego ocieplenia jest coraz mniej lodu morskiego, z którego białe miśki polują na foki. Za to ludzi, w tym turystów, jest coraz więcej.



W punktach pomiarowych naukowcy liczą zalegające na plaży śmieci. Mijamy ich po drodze mnóstwo. To resztki sieci, zabawki, beczki, buty, torby foliowe, boje, a także drobne kawałki plastiku. Potem dowiadujemy się, że grupa pontonowa odkryła na „swoich” plażach mrowie plastikowych granulek - półproduktu, z którego wytapia się syntetyczne włókna.

Przygnębiające wrażenie robi szkielet renifera, który zaplątał się porożem w linę okrętową. W bałaganie sznurków tkwi poroże kolejnego renifera - bez kawałka czaszki, więc może udało mu się je zrzucić i oswobodzić?

Napotyamy wiele poroży zaplątanych w liny lub sieci. Jest ich tak dużo i są tak fantazyjnie powiązane, że większość naszej grupy uważa, że ktoś je ułożył celowo.

- Kiedy podczas wykopalisk znajdowaliśmy coś, czego nie mogliśmy logicznie wytłumaczyć, zaraz zakładaliśmy, że chodziło o rytuał religijny - śmieje się Brian, który spędził życie, tropiąc indiańskie artefakty.

Mnie się wydaje, że te poroża zostały zaplątane w ludzkie śmieci przez fale. Symbolizują chaotyczną moc oceanu i głupotę *Homo sapiens*.

Po ośmiu godzinach marszu i przeprawie przez lodowatą rzekę okazuje się, że przeszliśmy 18,5 km. Jesteśmy wykończeni.

Postanawiamy, że nazwiemy naszą grupę "Drużyną żółtej kaczuszki".

Domek

Drugiego dnia marszu znowu przechodzimy przez rzekę. Jest tak głęboka, że rozbieramy się do majtek.

- Czy ktoś z was zaczął już się zastanawiać, po co w to wszystko się wpakował? - pyta Hania.

Dziewczyny naliczają kilkadziesiąt rodzajów trudnego podłoża, po którym maszerujemy. To m.in. kamienie i skalne rumowiska, błoto, które chce nas pochłonąć, grząski piasek i niesamowite gleby poligonalne - rosnące w zimnie i przylegające do siebie kamienne kręgi, w których wnętrzach żyje miękka tundra.

Unikamy utraty wysokości. Każdy krok w dół, nawet o kilkanaście centymetrów, oznacza, że zaraz trzeba będzie się wspinać. A nogi, plecy i barki wołają o zmiłowanie.

Najbardziej lubimy podłoże z delikatnych skalnych łupków, które rozpadają się pod nogami, tworząc elastyczny dywan.

Zanim stajemy na nocleg, pokonujemy 19,5 km, przedzierając się m.in. przez surrealistyczną mgłę, która przychodzi znad oceanu. Na plaży towarzyszy nam zapach rozkładających się mdło glonów.



Okazuje się, że prof. Węślawski, który kusił nas lekkim spacerkiem przez tundrę, wyliczył owe 10-12 km w linii prostej.

- Dzisiaj był ten najdłuższy dzień - mówi optymistycznie Aneta Łuczkiwicz, mikrobiolog i profesor z Politechniki Gdańskiej.

Trzeciego dnia Krzunia proponuje, żeby zmienić nazwę naszej grupy. Już nie jesteśmy "Drużyną żółtej kaczuszki". Teraz mówimy o sobie "10-12 km w linii prostej".

Pogoda robi się piękna. Świeci słońce, wiatr zmienia się z północnego na południowy. Z oceanu podglądają nas foki. Po tundrze przebiega lisek polarny. Oglądamy szkielet wieloryba i podziwiamy góry.

- Gdzieś idzie już zło, ta pogoda nie może bez końca być taka dobra - marudzi Krzunia.

Wszyscy cieszymy się, że jeszcze nie padało. Mżyło, ale to się nie liczy.

Pokonujemy ledwie 13 km i rozbijamy się w sąsiedztwie fok. Jest tak ciepło i przyjemnie, że wieczorem wszyscy kąpią się w lodowatej rzece. Mokre ciało szybko schnie.

Na warcie oglądam polujące rybitwy. Co jakiś czas z oceanu wychyla głowę foka. Wiatr zmienia się na północny. Znowu dmucha ostrym zimnem.

O czwartej nad ranem zwiewa nam namiot.

Zamek

Akurat budzę się tuż przed, bo śpię od nawietrznej i ściana bezpodłogowego tipi coraz mocniej na mnie napiera. Nagle świst i nie mamy domku.

Próbujemy go znowu postawić, ale nie mamy szans, za ostro wieje. Tomek decyduje, że zwijamy obóz i ruszamy.

Zanim to zrobimy, musimy jeszcze znaleźć okulary Briana, które zwiąło razem z namiotem. Przez kilkanaście długich minut chodzi po omacku jak kret.

Zjadamy śniadanie. Bez owsianki daleko byśmy nie zaszli.

"Z Kasią źle" - zapiszę później w notatniku. Ma przeziębione zatoki i jest na antybiotyku. Idzie niczym zombi, otumaniona (potem opowie nam, że nie pamięta tego dnia). A maszerujemy z "wmordewindem" - pod zimny, północny wiatr. Znowu musimy pokonać rzekę.

Podczas postoju na punkcie pomiarowym Tomek z Krzunią uznają, że trzeba gdzieś "przekiblować". Środkiem wyspy, kształtem przypominającej wskazówkę kompasu ustawioną mniej więcej w linii północ-południe, biegnie pasmo górskie, którego szczyty sięgają około tysiąca metrów ponad poziom morza. Może tam będzie jakaś kryjówka?

W krystalicznym arktycznym powietrzu góry wydają się na wyciągnięcie ręki, ale dzielą nas od nich trzy kilometry.

Znajdujemy "Twierdzę" - skaliste wzniesienie, osłonięte od północy. Po dalszych poszukiwaniach Aneta odkrywa jeszcze bardziej zaciszny i wymoszczony mchem "Górny zamek". Obok cieknie strumyk. Rozbijamy namiot i kładziemy się spać.

Pierwszą godzinę przesypiam na zewnątrz, na posłaniu z mchów i porostów. Słońce tak grzeje, że w namiocie jest za gorąco.

Na warcie oglądam fulmary szybujące pod klifem "na żagiel" (łapiąc wiatr odbijający się od zbocza) i dwa renifery, matkę z cielakiem, które podeszły pod nasz obóz. Notuję, że nazwę naszej grupy trzeba zmienić na "Łatwy spacerek po tundrze, k... jego mać!".



Zbieramy się dopiero po kilkunastu godzinach.

- No to kulbaczmy - mówi jak zwykle Tomek, choć tym razem już o 4.15 rano.

Kasia ożyła. Wiatr osłabł, pogoda dopisuje. Humory również. Widoki powalają.

Kaczka

Już piąty dzień marszu. Mam nadzieję, że uda nam się nadrobić choć połowę straconego dystansu.

Podczas wyprawy - kiedyś taternicy nazywali je wyrypami - na drugi plan schodzą tak podstawowe, wydawałoby się, codzienne potrzeby jak prysznic, zmiana bielizny, przeglądanie internetu czy przejmowanie się tym, co się dzieje w Polsce.

Po prostu idziemy, dostosowując plan do drogi i pomagając sobie nawzajem. Rozmawiamy.

Brian opowiada, że jako młody archeolog w latach 70. jechał na konferencję do Gwatemali. Podróżował przez tydzień, głównie autostopem, po drodze łapiąc coraz ciemniejszą opaleniznę. Kiedy już na miejscu spotkał starszą amerykańską parę, po kilku minutach rozmowy został pochwalony, że świetnie mówi po angielsku.

Obaj parszemy śmiechem.

- I co im odpowiedziałeś? - pytam.

- Dziękuję, moi rodzice byliby dumni!

Po kilkunastu kilometrach docieramy do zjawiskowej doliny leżącej pod "Skałą końca świata" (to pomysł Briana, któremu kilka dni wcześniej wydawało się, że ta skała to północny kraniec Ziemi Księcia Karola). Na klifie gniazdują maskonury - północnoatlantyckie ptaszki z białoczarnymi piórami i kolorowymi dziobami.

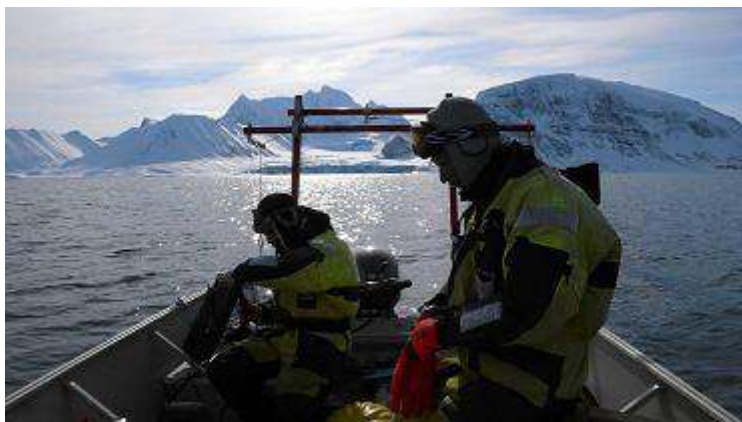
Rozsiadamy się na trawie i mchach, żałując, że obóz nie wypada nam w tym miejscu. Ale idzie się świetnie, szkoda nie skorzystać.



Plastikowa żółta kaczuszka znaleziona przez polskich naukowców na Ziemi Księcia Karola w archipelagu Svalbard w Arktyce Jan Marcin Węśławski, Lech Kotwicki

Obok jest 11. punkt pomiarowy, a pomiędzy nim a punktem 12. mamy nadzieję znaleźć żółtą kaczuszkę! To ledwie 3 km (w linii prostej), wydaje się, że mamy szansę. Plastikowa kaczka zaległa za wałem burzowym, na pograniczu plaży i tundry, pod kłodą drewna dryftowego, którego pełno na Svalbardzie - prądy morskie niosą je aż z Syberii.

Zanim ruszamy, wsysam żel energetyczny. Zawsze jem go na ostatniej "prostej". Pierwszego dnia prawie wymiotuję, tak jest słodki. Drugiego - wydaje mi się nawet smaczny. Trzeciego dnia nie mogę już się go doczekać.



Idziemy tyralierą, powoli, sprawdzając każdą kłodę. Z każdym krokiem dochodzę do wniosku, że musielibyśmy mieć sporo szczęścia, żeby znaleźć tę "igłę w stogu siana". Od ub.r. mogło tu się zmienić wszystko. Fale mogły zmyć kaczkę do oceanu, zanieść ją w głąb tundry albo nanieść nowych kłód i kamieni. Wiatr mógł przysypać ją piaskiem.

Po raz pierwszy natykamy się na tropy obcych ludzi. I tropy psie.

Tomek uważa, że to Norwedzy, bo oni chodzą po Arktyce z psami (które mają ostrzegać ich przed niedźwiedziami).

Po blisko 12 godzinach i 20 km marszu rozkulbaczamy. To dzisiaj był ten najdłuższy dzień.

Ostatnie kilometry i nieudane poszukiwania żółtej kaczuszki dały wszystkim w kość. "Pieprzyć kaczkę", myślę sobie. Zamiast niej spotkaliśmy stada dzikich kaczek i gęsi.

Koniec świata

Na ostatnich kilometrach, tuż przed północnym krańcem wyspy, który Norwedzy nazwali Fuglehuken, natrafiamy na mokrą tundrę poprzecinaną jarami i strumykami. Mordega taka, że przechodzę na kamienistą plażę.

"Nigdy nie myślałem, że będzie mi łatwiej iść po tych kamulcach niż po tundrze", myślę.

- Nigdy nie myślałem, że wybiorę te kamienie - mówi chwilę później Tomek.

Po 10 km marszu dochodzimy do naszego *Ultima Thule*, czyli do chatki Norweskiego Instytutu Polarnego na Fuglehuken. Nad nami wisi wysoki na blisko 600 m szczyt Fuglehukfjellet, na którego północnej ścianie gra ptasie radio. Wokół biega rodzina lisków polarnych i spacerują renifery. Na plaży wylegają się foki.

Po tygodniu życia na liofilizowanym żarciu rzucamy się na suchy chleb i przeterminowane konserwy - rybne oraz słynny norweski "pasztet z dziecka" (na puszcze zdjęcie uśmiechniętego blondaska).

Po kilku dniach przyplývają zodiakowcy. Mówią, że na wschodnim wybrzeżu Ziemi Księcia Karola spotkali niedźwiedzia polarnego. Jednego.



Nasza ekipa marszowa wyraźnie pęka. Z badań psychologicznych wiadomo, że każda odcięta od świata grupa przechodzi przez różne etapy - najpierw wszyscy "spijają sobie miód z dziubków", potem zaczynają na siebie warczeć i walczyć o swoje, a dopiero w trzeciej fazie efektywnie współpracują.

Hania mówi, że tych etapów jest tak naprawdę więcej.

Krzunia opowiada, że kiedyś pojechała do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Arctowskiego i pierwsza osoba, którą spotkała, warknęła na nią: - To jest moje miejsce, wynoś się stąd!

- I co zrobiłaś?

- Przesiadłam się.

Zastanawiamy się, co by było, gdyby "Oceania" po nas nie przyplýnęła i trzeba by maszerować z powrotem.

- Poszłabym bez wahania - mówi Krzunia.



Sierpień 2018, Ziemia Księcia Karola, Arktyka. W punktach pomiarowych naukowcy liczą zalegające na plaży śmieci. To resztki sieci, zabawki, beczki, buty, torby foliowe, boje, a także drobne kawałki plastiku (Tomasz Ulanowski)

Jednak kiedy pytam ją, co takiego jest w Arktyce czy Antarktyce, że ludzie, którzy raz je odwiedzają, zostają zarażeni gorączką polarną i muszą koniecznie do tego surowego zimna wrócić, nie potrafi odpowiedzieć.

Ja myślę, że chodzi o nieobecność tego, co zbędne.

"Najbardziej niesamowici nomadzi, ci najtwardsi, uważają pustynię za ogród Allaha" - napisał o Saharze w "New Scientist" Sean O'Neill. "Miejsce, z którego zabrał wszystko to, co nieważne. To uczucie, które z nimi dzielę".